

Nie wiem, czy to, co pamiętam, naprawdę się zdarzyło, czy tak sobie wyobrażam teraz, kiedy jestem starsza i umiem opowiadać historie. Czytałam kiedyś o amnezji dziecięcej. To znaczy o tym, że nie mamy wspomnień z czasu, gdy byliśmy mali, bo wtedy, zanim skończyliśmy trzy lata, nasz mózg jeszcze nie umiał zapamiętywać. Tak mówią naukowcy, ale nie wiem, czy mają rację. Ja mam z tamtego czasu jedno wspomnienie. Nigdy się nie zmieniło, a zresztą jeżeli miałabym je sama wymyślić, to chyba zmyśliłabym coś miłego, prawda? Jakąś fajną rzecz ze szczęśliwym zakończeniem.

Obudziłam się zapłakana w pokoju na piętrze. Słyszałam rozgniewane głosy na dole, a za oknem burzę. Wstałam i wyszłam na podest. Na schodach zamontowana była bramka, żeby nie spadła. Nie umiałam jej otworzyć, choćbym nie wiem jak długo kombinowała. Byłam boso, marzły mi nogi. W garści ścisnęłam biały kocyk, który ciągnął się za mną po podłodze.

Przy drzwiach wyjściowych, pod gałązką jemioli zawieszoną na lampie, stały dwie postacie. Twarze miały w cieniu. Zaczęłam popłakiwać. Baba spojrzała do góry.

— Wracaj do łóżka, kotku — powiedziała. — No już.

— Nie mogę spać — odparłam.

Baba pokiwała głową.

— Wiem. Ja też nigdy nie mogłam zasnąć przed Bożym Narodzeniem.

Pokręciłam głową. Nie chodziło o Boże Narodzenie. Po prostu nie chciałam wracać do łóżka. Burza huczała, jakby próbowała rozwalić dom. I dlaczego one krzyczały?

Znowu zaczęłam płakać. Chciałam, żeby odwróciła się ta druga postać, koło Baby, ubrana w zielony płaszcz. Po długich włosach i szczupłej talii można było rozpoznać, że to kobieta, ale nie widziałam jej twarzy.

Jednak ona nie spojrzała w moją stronę. Wpatrywała się w dywan, a w dłoni ścisnęła uchwyt walizki.

— Zadzwoń za kilka dni — wyszeptała i wiedziałam już, że to mama.

— Mama — powiedziałam.

Ona otworzyła drzwi. Baba próbowała ją zatrzymać, nie pozwolić jej wyjść w ciemną noc za progiem, ale mama krzyknęła i odepchnęła Babę na lustro wiszące w przedpokoju.

— Przestań rozwalać mi życie! — zawołała. Wiatr szarpnął drzwi i otworzył je na oścież. Deszcz wdarł się do środka. Powietrze pachniało wyjątkowo słono.

Wtedy Mama odwróciła się i spojrzała na mnie, ale nie uśmiechnęła się, nie pomachała ani nie posłała mi całuska. Patrzyła, jakbym była czymś obcym, dziwnym i smutnym, czego nie potrafiła zrozumieć.

Potem odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami.

I znowu zapadła cisza.

Już nikt nie krzychał.

Burza też umilkła.

— Mama — szepnęłam.

— Mama wyjechała, kochanie — powiedziała Baba. Weszła na schody, otworzyła bramkę i wzięła mnie na ręce. Cała się trzęsła. Miała mokre oczy. — Teraz zostaliśmy ty i ja. Ja i ty, dobrze?

— Mama — powtórzyłam.

— Chodźmy do łóżeczka — mówiła Baba. — A rano zobaczymy, jakie prezenty przyniósł ci Mikołaj.

Ale nie obchodziły mnie prezenty. Myślałam tylko o tym, co straciłam.

Wiele razy pytałam Babę o tamtą Wigilię, kiedy Mama wyjechała. Chciałabym zrozumieć, dlaczego nas zostawiła. Ale Baba zawsze obwinia Mamę. Mama pojechała sobie do Nowego Jorku, żeby występować na Broadwayu, i wcale nie myślała o dziecku, które porzuciła. I to wspomnienie — Mama w zielonym płaszczu, burza za oknami — wraca do mnie w każde święta.

— Nie czekam ani chwili dłużej! — woła Baba.

— Trzydzieści sekund — krzyczę z góry. Wciągam kaptur fioletowej bluzy na głowę.

— Liczę do dziesięciu.

Zbiegam po schodach. Baba stoi przed lustrem i czyści swój czarny płaszcz, do którego poprzyczepiały się włosy Reksa. Owijam się szalikiem.

Od rana obierała ziemniaki i marchewki na obiad. Brukselka piecze się w piekarniku razem z indykiem. W całym domu pachnie pomarańczowo-żurawinowym nadzieniem.

W przeciwieństwie do mnie Baba wciąż lubi święta. Co roku puszcza swoje ulubione kolędy i ustawia odtwarzacz naprawdę głośno, kie-

dy leci *Cicha noc*. Śpiewa na cały dom, aż razem z Reksem, naszym labradorem, chowamy się u mnie w pokoju. Śpiewanie niespecjalnie jej wychodzi, ale nadrabia entuzjazmem.

Teraz odkłada szczotkę do ubrań na stolik pod lustrem i wkłada granatowe pantofle na płaskim obcasie.

— Gdzie się wybierasz w tych butach? — pyta, pokazując na moje trampki. Nic nie mówię, bo to pytanie retoryczne. Zawsze tak pyta, jak coś ją zirytuje. — Idziemy do kościoła i jest Boże Narodzenie.

— Ale te trampki są wygodne. Tylko trochę się pobrudziły.

Reks zaczyna obwąchiwać mi nogi, zdradzając tym samym, że trampki pewnie śmierdzą. Odpycham go nogą.

— Nie wtrącam się w to, jak się ubierasz, jeśli twoje rzeczy są czyste, ale te stare trampki nie są czyste. Proszę włożyć porządne buty — mówi Baba ze swoim irlandzkim zaśpiewem, który sprawia, że jej głos brzmi łagodnie, a jednocześnie stanowczo.

Jedyne porządne buty, jakie mam, są ciężkie i obcierają mi nogi. Właśnie chcę to oznajmić, kiedy wzrok Baby pada na plamę na mojej bluzie.

— No naprawdę, Apple, co ty wyprawiasz? Nie masz żadnej czystej bluzki?

Pocieram miejsce, gdzie kapnęło mi żółtko przy śniadaniu. Zupełnie o tym zapomniałam. Sądząc po minie Baby, można by pomyśleć, że oblałam się śmiertelną trucizną.

— To moja ulubiona bluza — odpowiadam. I nie chcę jej zmieniać. Ani trampek.

— Moja panno, proszę natychmiast iść na górę i się przebrać — mówi Baba i zaciska usta, aż wyglądają jak suszona śliwka. Kiedy tak robi, nie ma sensu się kłócić. I żałuję, że nie ma Mamy.

Na górze przebieram się w sukienkę i te za ciasne sznurowane buty. Ostatni raz ubrałam się tak pół roku temu, na pogrzeb przyjaciółki Baby. Od tamtej pory Baba ciągle wspomina o śmierci. Mówi na przykład: „Jeszcze za mną zatęsknisz, gdy będę leżeć pod ziemią jak biedna Marjorie” albo „Nie chcę, żeby na mój pogrzeb wszyscy przyszli na czarno. Trochę różowego nie zaszkodzi”. Dla trzynastolatki to średnia przyjemność mieszkać z kimś, kto uważa, że w każdej chwili może paść trupem. Powiedziałam to Babie, a ona strasznie się śmiała. Odrzuciła głowę do tyłu, aż było jej widać stare srebrne plomby i miejsca po brakujących zębach. W ogóle nie rozumiałam, co ją tak rozbawiło.

Kiedy schodzę na dół, Baba usiłuje zapędzić Rekxa do kuchni. Na płaszczu znowu ma sierść.

— Od razu lepiej — mówi na mój widok. Podchodzę do Rekxa i całuję jego jedwabiste uszy, a on odwraca pysk i oblizuje mi twarz. Baba się krzywi.

— Ojej, Apple, psisko najpierw liże się pod ogonem, a potem pozwalasz, żeby obśliniało ci buzię. To obrzydliwe.

Baba zamyka drzwi na dwa zamki i idziemy do samochodu. Na niebie krzyczą mewy. Od morza nadciąga mgła.

Wsuwam się na tylne siedzenie, bo Baba nie pozwala mi jeździć z przodu. Zapinam pas. Już zaczynają mnie boleć nogi od tych butów, a w sukience trudno mi oddychać.

— Myślisz, że może dzisiaj wrócić do domu? — pytam.

— Kto? — Baba podnosi na mnie wzrok. Nic nie mówię. Patrzy na mnie w lusterku. — Nie sądzę, Apple. A ty?

Kręcę głową. Wiem, że Mama nie zjawi się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — ani dzisiaj, ani innego dnia. To, że odeszła w wigilię Bożego Narodzenia, nie znaczy przecież, że wróci też w święta.

Zresztą może w ogóle nie wróci.